

Starówka. Noc z 1 na 2 września 1944 r. Oddziały ~~na~~ powstańcze odcinane kanałami do Śródmieścia. Z naszego szpitala - Długa 7 - też odeszli lekarze i pielęgniarki dyplomowane, zabierając ze sobą część rannych. Kilku set ciężko rannych zostaje - a z nimi my - sanitariuszki-ochotniczki. Chłopcy śledzą każdy nasz ruch obawiając się, że zostaną sami. Składamy głos Siostry Komendantki: - Wszystkie siostry na odprawę! Na mojej sali pada ciężkie zdanie: - Odkąd to ucieczka nazywa się odprawą? Rozumiem. Przejście nasze na dalszą walkę do Śródmieścia, bez możliwości zabrania ze sobą wszystkich rannych, byłoby ucieczką. Przecież myśmy tak taktowały odejście lekarzy i pielęgniarek. Jaki będzie rozkaz Siostry Komendantki?

- Każda z nas, składając przysięgę, ofiarowywała swoje życie Polsce. Wybór rodzaju śmierci nie do nas należy. Jeżeli mimo wszystko przeżyjemy, a z tamtymi się spotkamy - no to będziemy miały 5 minut satysfakcji. Czy wszystkie siostry zostają? Po otrzymaniu chóralnej odpowiedzi potwierdzającej Komendantka każe nam wrócić na sale. Czy pokolenie, urodzone i wychowane w wolnej Polsce, jest zdolne zrozumieć, że w tych warunkach słowa Komendantki zabrzmiały zupełnie naturalnie, że nie było w nich patosu?

Odbieramy rannym opaski, mundury, legitymacje i broń. Postanawiamy twierdzić, że wojsko ewakuowało wszystkich swoich rannych, że pozostali tylko cywile. Na gmachu wywieszamy flagę Czerwonego Krzyża i - czekamy.

Około godziny 9-tej przychodzi nasz nieoceniony kapelan O. Tomasz Rostworowski. Rozdając Komunię św., udziela wiadomości:

- Na nasz teren wkroczył Wehrmacht. Dziękujmy Bogu, że nie SS ani włoscy. Pozwolili mi dokończyć Mszę św. i przyjść tu do was. Zachowują się spokojnie. Za wiszą znów słychać gąsienic. Może ta nasza nowa niewola potrwa tylko dzień. Ufajcie ...

W godzinę później wychodzę z podziemi. Przez okno widzę na barykadzie zatkniętą białą chorągiew - najstraszniejszy widok dla żołnierza. Na podwórzu spotykam wkraczający oddział SS. Zwracają się do mnie po polsku:

- Czcieliż ranni polscy bandyci?

- Nie ma ich.

- Co się z nimi stało?

- Zostali zabrani.

- Kiedy?

- W ciągu ostatnich trzech dni.

- Kto ich zabrał?

- Wojsko.

- Niech pani nie kłamie - my wszystko wiemy.

- Panowie sprawdzą w szefostwie - obecnie szpital jest tylko cywilny.

Wprowadzą ich do S. Komendantki, która spokojnym głosem zaczyna:

- Jesteśmy międzynarodową organizacją genewską ...

Schodzę do rannych.

- Koledzy, do szpitala weszli esesowcy. Mogą tu robić rewizję. Proszę sobie przypomnieć, czy ktoś nie ma jakiegoś świstka, który mógłby zgubić nas wszystkich.

Okazuje się, że został pistolet. Udaje mi się go usunąć.

Po trzech godzinach zapada decyzja, że szpital będzie nadal czynny dla naszych rannych oraz tych, którzy znajdują się w domach. Wkrótce znów wpadają Niemcy.

- Wszystkie siostry na górę! Schnell! Haus!

Idziemy w przekonaniu, że wożą nas na jakąś odprawę.

- Lekko ranni też mogą wyjść!

Rozumiemy. Chcemy wrócić, by jak największej rannych móc uratować. Nie ślepy

Niemcy wypędzają nas na podwórze, że nami wychodzi kilkanaście osób. Jeszcze? Słyszymy wścieklą palbę pistoletową w podziemiach, a kiedy wyproszymy

wychodzą na Podwałę oglądamy się na szpital, widzimy gmach w płomieniach.

Byłam całe życie słaba fizycznie - z wyjątkiem tego jednego dnia.

Wprowadzą chłopca rannego w obie nogi, obejmują go w pół, on opiera się

na jego ramiona - idziemy.

W połowie Podwala zatrzymują nas wszystkich przed czołgiem. Lufa wolniutko opuszcza się na nasz poziom. Jak to długo trwa - nie wiem. Nie czuję lęku, ale chcę: - Niech wreszcie gruchnął.  
 Każę iść naprzód. Przed następnym czołgiem ta sama szopka. Przed ~~xxxxxxx~~ reakcją zwałonym Królem Zygmuntem pluton egzekucyjny. Stoimy frontem. rogu Mariensztadtu. Mój ranny siada na chodniku, poprawiam mu bandaż, przecież on idzie boso... Zjawiają się przedstawiciele S.D. Policzkują ~~xxx~~ stry: - Za pielęgnowanie polskich bandytów, chciało wam się wolnej Polski, macie teraz. Mówią po polsku. Czekam swojej kolejki - jakoś mnie omijają. Mój ranny szepcze: - Siostrzo, włosowcy rabują zegarki, niech siostra ratuje swój. Istotnie, za plecami S.D. grasują włosowcy. Przypinam zegarek do korsaża spódnicy. - Otdawajcie czasy! Pokazują rękę ze śladem po zegarku pomyślał, że się spóźnił, że go ktoś już ubiegł. Idziemy obok kościoła sw. Anny, wprowadzają nas do gmachu ~~xxxxxxx~~ Tam przejmuje nas Wehrmacht Tym razem jest prawdziwy odpoczynek. Siostry szarytki dają nam przegotowaną wodę, kostkowy cukier, medaliki. Szepczą słowa otuchy. Zjawia się S. Komendantka, którą zatrzymano w szpitalu do końca mordy. Próbowała ocalić choć jednego rannego, twierdząc, że to jej brat - zastrzelono go na jej rękę... Komendantka ogarnia sytuację - "zdobywa" samochód ciężarowy, już jest na nim flaga Czerwonego Krzyża, już lokujemy na nim naszych ocalonych rannych. Kilka sióstr wchodzi do samochodu. Komendantka mówi do nas pozostałych: - Na Dworcu Zachodnim zbieramy się przy tej fladze. Samochód odjeżdża, nas ustawiają i prowadzą zburzonymi ulicami Warszawy na Dworzec Zachodni. Trzymam się siostry Paulinki i Siostry Haneczki, z którymi pracowałam na tej samej sali w szpitalu, dołącza do nas siostra Staszka ze szpitala "pod Krzywą Latarnią". Pochód nasz wydłuża się, bo Niemcy dołączają do nas cywilów, których wypędzili z domów na Starówce. Na Dworcu Zachodnim okazuje się, że oprócz Starówki jest tu też Sadyba. Podstawiają pociągi narazie towarowe. Już wiemy, że celem podróży jest obóz w Pruszkowie. Pod flagą Czerwonego Krzyża obok S. Komendantki jest nas 37. Wszystkie w białych kurtkach z opaskami sanitarnymi na rękawach. Przy nas gromadzą wszystkich rannych, samotnych starców, kaleki - mamy ich eskortować do obozu. Dostajemy pociągi elektryczne. Obracamy czterokrotnie, oczywiście w asyście Niemców. O g. 24 ładujemy w baraku Nr. 2 sanitarnym. Miejscowe RCO obiecuje użyć wszystkich sił, aby ocalić naszą gromadkę od wywiezienia na roboty do Niemiec. Decyzja należy do 2 lekarzy niemieckich. Nasza czwórka układa się na betonie, ~~xxxxxxx~~ tuląc się do siebie. Zobaczymy, co przyniesie dzień jutrzejszy.

Nazajutrz komisja lekarska kwalifikuje rannych do szpitali podwarszawskich, część naszych sióstr jedzie z nimi. Wreszcie wywołują: - Szpital Długa 7! Przeprowadzają nas do bloku nr. 1 w - wyjazd na teren Generalnej Guberni. Wygrana! Oddają pod naszą opiekę matki z dziećmi i starców. Co możemy im pomóc? Korzystając z naszych opasek czerwono krzyżskich, wzięliśmy się po teren ~~xxxxxxx~~ obozu, z magazynów kradniemy dla dzieci pomidory, ułatwiamy zdobycie naczyń na zupę, rozdawaną przez Niemców - same głodne. Miejskowa siostra RCO pożycza naszej czwórce własny garnek aluminiowy. Przykro mi - garnek ten służy mi do dziś dnia. Niespodzianie po trzech dniach pobytu w brudnym zawieszonym bloku załadowują nas do towarówek, plombują wagony nie mam możliwości zwrócić niżej koleżance jej własności. ~~xxxxxxx~~ Nową część życia zaczynam zatem od przywłaszczenia garnka. Jedziemy. Dokąd? nikt nie wie. Ktoś twierdzi, że do ~~xxxxxxx~~ wie. W nocy pociąg staje w Skierniewicach. Na dworcu czuwa RCO: - Komu potrzebne lekarstwa? Kto chce wody, chleba? Podają przez zakratowane okienka. W Skierniewicach mam rodzinę wysiedloną z Poznania. Pytam czy można dać kartkę. - Naturalnie, powinniście państwo już mieć przygotowane takie kartki. Piszę kilka słów do siostry ciotecznej, będącej moją matką chrzestną. Kartka została dostarczona tej samej nocy. Pociąg rusza. Pierwszy raz zastanawiam się, co dalej. Decyduje się dotrzeć właśnie do rodziny w Skierniewicach, jak tylko to będzie możliwe. Pociąg wlecze się.

Wreszcie rano zatrzymujemy się na stacji Jeleń k/Tomaszowa. Otwierają wagony. Powietrze. Można rozprostować kości. Można umyć się pod pompą. Z pobliskiego majątku wozy fernalskie dowożą mleko, zupy, jarzyny, świeżo pieczony chleb. Niespodziewanie spotykam rodzinę, wyrzuconą z Sadyby wraz z rodziną. Skład przedziwny: troje ludzi starszych, moja cioteczna bratowa w 7 miesiącu ciąży, jej 12-stoletni syn i czterolatek przegarnięty z Zamojszczyzny. Mój brat cioteczny odłączony od rodziny przez Niemców - los jego nieznany. Najstarszy bratanek, 16-stoletni Antek Piękar-ski, w walce. Nikt z nas nie wie, że to ostatni dzień jego życia, że na-zajutrz polegnie ...

Wieczorem znowu ładują nas do wagonów - plombują - jedziemy. Loką? Podobno do Opoczna. Istotnie. Pociąg staje.

- Jesteście państwo wolni, znajdujecie się pod opieką straży opoczyńskiej. Chwała straży pożarnej z Opoczna! w tych ciężkich warunkach wojennych robią więcej niż mogą. Każdy z nas zostaje zakwaterowany pod dachem. Nazajutrz załatwiamy formalności, otrzymujemy bony na całodzienne wyżywienie oraz zaświadczania, że udajemy się na poszukiwanie rodzin. Do Warszawy wracać nie wolno. Wieczorem z moją spotkaną rodziną i Paulinką jedziemy pociągiem do Koluszek. Dalej w kierunku Warszawy nie wolno. Wujemy na dworcu. Paulinka decyduje się jechać do Myszkowa, gdzie ma koleżankę. Ja postanawiam iść piechotą do Skierniewic - 40 km. Rodzina nie wie co ma ze sobą zrobić. Miejscowi ostrzegają, że o godzinie 8-mej rano przychodzą Niemcy i wybierają na roboty do Rzeszy. Mam lat 31, ręce, nogi całe, więc jestem zagrożona. Zegnam się z rodziną i wyprowadzona przez jakąś życzliwą koluszanek na bo-czne drogi - idę. Mam ze sobą ćwiartkę chleba i setkę jakiegoś podłego soku. Pierwsze 10 km macham w 2 godziny. Od Szupki idę już szosą. Na 12 km przed Skierniewicami zrywa mi się ścięgno w nodze, zmieżdżone przed trzema tygodni-  
mi cogłą ze stropu Katedry św. Jana. Krępuję ścięgno chustkami do nosa i po-  
stanawiam dotrzeć tego samego dnia do Skierniewic. Wlokę się od jednego szu-  
pa kilometrowego do drugiego. Pod każdym szupem piętnastominutowy odpoczy-  
nek. Wreszcie wchodzę do Skierniewic i nie wiem jak mam iść, bo zawsze przy-  
~~jechałam~~ jeździłam na dworzec. Pytam jakąś panią w wytwornym płaszczu z bia-  
łego oficerskiego koca, jak mam iść do Domu Zdrowia. Pani nie odpowiada bez-  
pośrednio:

- Siostra zmęczona, głodna, siostra pozwoli do mnie, siostra się unyje, zje, przenocuje i jutro siostra pójdzie do Domu Zdrowia, bo to jeszcze jakieś dwa kilometry.

Wzruszona dziękuję, ale tłumaczę, że boję się iż jutro nie będę w stanie się ruszyć, że muszę dzisiaj dotrzeć. Jakieś dwie młode panienki prowadzą mnie, rozmawiając o Powstaniu. W pewnej chwili pytają:

- Po co siostra idzie do Domu Zdrowia - przecież zajęli go Niemcy.

Na szczęście przypominam sobie adres znajomych, którzy bywają u moich krew-nych. Moje opiekunki doprowadzają mnie do nich. Znajomi patrzą na mnie, jak na rzewę z tamtego świata. U nich się myję /aby rodzinka witając się nie przyklepiła się do mnie./ Ze względu na zbliżającą się godzinę policyjną re-zygnuję z proponowanego posiłku i ze znajomym ruszam. Okazuje się, że moi podwójni wysiedleńcy znaleźli schronienie kątem w cudzej kuchni. Oprócz mej siostry ciotecznej i jej męża są ich dwaj synowie w wieku szkolnym. Córka ich po maturze pedagogicznej objęła pracę nauczycielki w schronisku dla sie-rot wojennych. Tyle zdążyłam dowiedzieć się w drodze.

Nareszcie dobijam do portu. Wchodzę. Wita mnie taka serdeczna <sup>radzie</sup> że choć dotychczas siostrze ciotecznej mówiłam normalnie po imieniu i całowała ją zwyczajnie - schyla się do jej ręki i z ust wyrzywa się zwrot "mamo".

Powstanie rozdzieliło mnie z moją matką - przypuszczałam, że nie żyje. Mieszkałyśmy na Powiślu obok elektrowni. W czasie trwania Powstania nie uda-ło mi się nawiązać z matką kontaktu, choć każda łączniczka, idąca na Powi-śle, zabierała moją kartkę, żadna nie doszła. Tutaj też nie wiedzą.

Chłopcy śpią na podłodze na zimowych paltach, ja dostaję łóżko z po-ścielą. Pierwszy raz od wybuchu Powstania mam uczucie, że jestem w domu. Okazuje się, że istnieje możliwość zatrudnienia mnie jako wychowawczyni w tym samym schronisku RCO, w którym pracuje siostrzenica. Starania te trwają miesiąc. W czasie tego miesiąca doznaję niezapomnianej serdeczności nie tylko od bliskich, ale i od zupełnie obcych. Rodzina moja, która w cz-  
sie okupacji po wysiedleniu z Poznania utrzymywała się z wypieku sianek,

teraz znalazła się w jeszcze cięższej sytuacji. Usunięcie z mieszkania w domu Zdrowia i utrata klienteli, która składała się przede wszystkim z tych, którzy handlowali w Warszawie, a obecnie musieli szukać innych rynków - wtrąciło w biedę. Jadało się chleb kartkowy z marmoladą i pitresilo zupy na "kołku bronowym". Sklepikarz zdziwiony, że "mama" kupuje białe pieczywo, masło i mleko, wyraża przypuszczenie, że w domu nastąpiła poprawa finansowa. - Nie, mam u siebie warszawiankę. Sklepikarz za każdym razem nie dolicza czegoś do rachunku: "To ode mnie dla warszawianki." Nieznajoma klientka tego sklepu ofiarowuje dla mnie koc. Ze mnie wyłożą przejścia ostatnich tygodni, najdokuczliwsze jest porażenie strun głosowych, siostrzeńcy nazywają mnie "niemowlę". Jakis czas muszę przeleżeć w łóżku, wreszcie organizm dochodzi do równowagi. Pierwsza wizyta u sklepikarza, który tytułuje mnie "pani doktor". Na mój protest stwierdza: - Sanitariuszka w Powstaniu, to więcej, niż zwykły doktor.

Rozpisuję listy do wszystkich krewnych i znajomych zamieszkałych poza Warszawą. O mojej Matce nie wie nikt. Powstanie upadło 2.X.44. W dalszym ciągu o Matce nie mam wieści. 12.X.44 mam wyjechać wieczorem do Kochanowa na posadę wychowawczyni. Ponieważ rodzinie udało się wznówić wypiek ciastek, co pewien czas przychodzą dostawy lub odbioraj. Zajęta pakowaniem moin "ruchomości" nie zwracam uwagi na przychodzących, których załatwia szwagier. W pewnej chwili siostra cioteczna, która dzieli się ze mną swoimi ubraniami i bielizną, zrywa się z okrzykiem: "Cioteczna" i klęka. W ulasku sekundy myślę: "Jeśli uklęka - to przed moją Matką." Podnoszę oczy - Matka!

Matka po upadku Powstania przeniosła się do krewnych na Koszykową i po zakończeniu Powstania przeszła przez obóz w Pruszkowie, została wywieziona do Starachowic, wreszcie dotarła do rodziny w Łowiczu / gdzie ja też byłam w połowie września - tam mnie wykwapowano: palto zimowe, buty itp., od nich dowiedziała się, że ja żyję i jestem w Skierniewicach.

Niestety wyjeżdżając do Kochanowa nie ~~można~~ zabrać Matki ze sobą. Podstawą mego uposażenia jest utrzymanie, nie mogę wymagać podwójnego, nie mam poscieli, będę sypiać z siostrzenicą pod jej kołdrą. W tych warunkach ja wyjeżdżam do Kochanowa, Matka wraca do Łowicza, gdzie mieszka jej siostra cioteczna dość dobrze sytuowana. Pisujemy do siebie listy.

Schronisko powstało z kolonii letnich, organizowanych przede wszystkim dla dzieci biedoty, dzieci z suteryn i poddaszy. ~~Było~~ Było trochę "rodzyńków". Wp. w grupie chłopców wyróżniali się pod każdym względem ministranci z kościoła św. Krzyża.

W pierwszych tygodniach istnienia Schroniska skład osobowy wychowanków jest dość płynny. Niektóre dzieci zostają zabrane przez krewnych zamieszkałych na prowincji, z kolei część rodziców wyrzuconych z Warszawy znajduje zatrudnienie w Schronisku, inni urządzają się na własną rękę, zabierając dzieci, lub pozostawiając je w Schronisku. Ostatecznie ustalają się 3 grupy:

- 1/ - dziewczęta w wieku od 7 do 14 lat - jest ich 56,
- 2/ - chłopcy w tym samym wieku i podobnej ilości,
- 3/ - dzieci w wieku żłobkowym i przedszkolnym. Ta kilkunastuosobowa grupa powstaje oczywiście nie z kolonii, lecz z tułaczki popowstaniowej.

Kochanów to duża wieś rozciągnięta wzdłuż drogi. Odległość od Skierniewic 26 km. Wójt volksdeutsch Zimmermann nieprzychylnie nastawiony do Schroniska. Mieszczy się w dawnym przedszkolu i przyległych chałupach. Zopatrzenie żywnościowe przez Zarząd RCO w Skierniewicach zupełnie wystarczające, natomiast dramatycznie przedstawiają się sprawy ubraniowe, przecież dzieci wyjechały na letnie kolonie, a tu nadciąga zima. Brak przede wszystkim palt. Po otrzymaniu dużej ilości pierzyn cotygodniowe kocz przerabia się na dresy.

W listopadzie idziemy z siostrzenicą na niedzielę pieszo do Skierniewic. Po drodze wstępujemy na cmentarz w Żelaznej. Na świętym grobie zmarłej tu Marii Rodziewiczówny leży wieniec z szarfą: "Dla wielkiej Polki - od tych co BYLI I BĘDĄ." Po wyjściu z cmentarza spotykam na szosie kolegę ze 101 kompanii - na Starówce był sierżantem. Obecnie jest podporucznikiem i kawalerem Virtuti Militari. Udało mu się nie pójść do niewoli, brak mu "lewych" dokumentów. W Skierniewicach przekazuję go komórcie legalizacyjnej.

1 grudnia przeprowadzamy się do budynku szkolnego - poza infirmerią jesteśmy wszyscy pod jednym dachem.

Łostają smutne listy od Matki. W Łowiczu zrobiło się cisno, kilkanaście osób z rodziny znalazło tu schronienie, Matka stara się dostać jakieś zajęcie za kąk i wyżywienie - bez skutku. W tej sytuacji decydujemy się z siostrzenicą ścisnąć moją Matkę do nas. Dzięki przydziałowym pieczywom spanie nie jest problemem, a jedzenie? Postanawiamy nasze 2 porcje dzielić na trzy. Kierownik Schroniska zgadza się. Przed świętami Bożego Narodzenia Matka przyjeżdża. Musi się jednak zameldować - wójt nie wyraża zgody, Matka wielokrotnie bywa w gminie. Około 10 stycznia 1945 wraca zgnębiona: - Co robić?

- Będiesz mieszkała bez zameldowania, a kto wie czy wkrótce Zimmermann nie będzie potrzebował naszej łaski.

Matka patrzy na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie mówi. Ponieważ leżę chora na zapalenie płuc, woli nie dyskutować.

k 16 stycznia słyszymy odgłosy bitwy. Rzeźbił front. Wieczorem dostajemy wiadomość, że został zdobyty Ożuchów / 4 klm od Kochanowa / i z drugiej strony Jeżów / 7 klm /. Jakiś maruder niemiecki chce się u nas ukryć, daje się jednak przekonać, że Schronisko nie stanowi azylu. Rano wkraczą do Kochanowa oddziały radzieckie. Po kilku dniach pod eskortą polskich żołnierzy przez Kochanów przejeżdża wóz pełen nawozu, na wierzchu leży były wójt Zimmermann... Matka mówi do mnie: - Miałeś rację!

Pierwsze tygodnie po wyzwoleniu są ciężkie, mamy trudności aprowizacyjne, dopiero po przejściu wojsk frontowych ustala się władza administracyjna. W początkach marca Schronisko zostaje przeniesione do pałacyku w Strobowie 6 klm. od Skierniewic. Powoli wszystko się normuje.

Otrzymuję list od przyjaciółki z Warszawy. Jej mieszkanie zostało ocalone. Proponuje mi przyjazd w celu zorientowania się w możliwościach powrotu. Jadę na kilka dni. Warszawa zburzona, spalona żyje! Pociągi dochodzą tylko do Szczepiłowic. Dalej wędrówka wśród ruin, na których już przebiega życie. Dymią jakieś piecyki, kręcą się ludzie, można nabyć gorącą grochówkę, pyzy... Na ul. Poznańskiej uliczny salon handlowy i miejsce spotkań Robinzonów warszawskich...

Po moim powrocie do Schroniska decydujemy się z Matką ośmieszać nasze życie w rodzinnym mieście. Rozstajemy się ze Strobowem i narazie ze sobą. Matka jedzie do znajomych - ja wracam na warszawskie grzyby. Mając oparcie o przyjaciółkę zdobywam mieszkanie - właściwie resztówkę dużego mieszkania, składającą się z kuchni z niezą, małego pokoiku, łazienki, w.c. i spiżarki. Uzyskuję zgodę Komitetu Blokowego oraz poprzedniego właściciela, któremu ocalała willa pod Warszawą. Narazie nie ma mowy o remoncie, wstawiam szyby, zakładam zamki u drzwi, uprzątam grzyby. Najkonieczniejsze sprzęty dostaję od znajomych, których mieszkania ocalały. W tamtych czasach człowiek człowiekowi był bratem. Równolegle ze staraniem się o dach nad głową szukam pracy. Otrzymuję ją w swoim zawodzie - w Bibliotece Narodowej. Sprowadzam Matkę. Skończyła się poniewierka, jest trudno, jest ciężko, ale to nic. Każdy dzień przynosi coś nowego. 9 maja na moście wysokowodnym spotykam znajomą, która z blizzącymi oczami mówi mi dwa słowa, na które czekaliśmy 2078 dni:

- Koniec wojny!

*Defam. Krosnowska*

Dodatkowe dane o autorce:

Nazwisko rodowe: Buszczykowska, ur. 18.VI.1913 r w W-wie, wykształcenie wyższe. Przed Powstaniem praca w bibliotece oświatowej /Polskiej Macierzy Szkolnej - zarejestrowanej na własne nazwisko/ przy ul. Świętojańskiej 13, zamieszkała na P.Owieślu ul. Lipowa 4 a. W Powstaniu walka na Starówce, zakończona jako sanitariuszka w szpitalu Długa 7.

~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~

Obecnie: emerytka, zamieszkała ul. Stożeczna 17 m.9 01-595 Warszawa